

Koniec epoki amerykańskich misjonarzy. Rozmowa z Ryszardem Machnikowskim

Mimo ogólnej, nominalnie znacznej świadomości na Zachodzie, a niekiedy nawet wręcz afirmacji różnorodności świata i istniejących w nim różnic kulturowych, rośnie tam ewidentnie poziom ignorancji co do znajomości owych różnic oraz porażającego etnocentryzmu w podejściu do prób „zrozumienia” niezachodniego świata, co sprawia, że zachodnie rachuby zwyczajnie się nie spełniają, gdyż opierają się o fałszywy obraz świata – mówi prof. Ryszard Machnikowski w wywiadzie udzielonym „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Dzieje hegemonu. Między WTC a Afganistanem”.

Hanna Nowak (Teologia Polityczna): Jak skomentuje Pan słowa Joe Bidena: „Ewakuacja z Kabulu nie była misją wojenną, ale misją miłosierdzia”?

Ryszard Machnikowski (socjolog, Uniwersytet Łódzki): Prezydent USA bezwzględnie powiedział prawdę, co u polityka należy odpowiednio docenić ... (śmiech). Wszyscy przecież jednak wiemy, że nie w tym leży zasadniczy problem. A raczej bardzo liczne problemy wynikające z niewątpliwie trudnej, ryzykownej, opartej, jak dziś możemy przypuszczać, o mało realistyczne spojrzenie na afgańską rzeczywistość decyzji o nagłym wycofaniu amerykańskich wojsk z Afganistanu. Spróbujmy zatem powiedzieć, co się w Afganistanie rzeczywiście stało. Po pierwsze, Biden bez uprzedzenia po prostu

porzucił prezydenta Afganistanu – protegowanego Ameryki i proamerykański rząd w Kabulu oraz prozachodnią elitę, która ten rząd wspierała (i która w większości została, co trzeba przyznać, lojalnie ewakuowana). Negocjacje Amerykanów z talibami w Katarze były prowadzone (jeszcze przez administrację Trumpa) bez udziału władz Afganistanu i jak się można dziś domyślać, także bez szerszego informowania o ich rezultatach, zapewne dlatego, że Amerykanie negocjowali warunki przekazania talibom władzy. Zatem zastosowano w praktyce zasadę: „wszystko o was – bez was”, gdzie określenie „was” oznacza wszystkie osoby, które wiązały nadzieje i przyszłość z obecnością, także wojskową, USA w Afganistanie. Znaczącym tego symbolem było nagłe i zaskakujące dla władz afgańskich opuszczenie przez amerykańskie siły zbrojne strategicznie ważnej bazy w Bagram. Sygnał przekazany wszystkim bez wyjątku Afgańczykom był zatem jednoznaczny: radźcie sobie sami, więc ci poradzili sobie w zgodzie z swoimi tradycjami rozwiązywania konfliktów wewnętrznych. Dużą część ludzi Zachodu zaskoczył fakt, że Kabul nie był zaciekle broniony przez „armię afgańską”, która po czymś takim po prostu się rozpadła. W tym kraju zwyczajnie unika się robienia takich rzeczy, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. Afgańczycy zaciekle atakują „siły okupacyjne”, ale preferują układanie się, o ile to możliwe, nad wyniszczające walki w konfrontacji z przeciwnikiem wewnętrznym, czemu trudno odmówić rozsądku. Podobnie było w 1996 r., gdy „Taliban 1.0” przejął kontrolę nad stolicą kraju – przecież nie w wyniku zacieklego szturm i przełamania obrony, gdyż generał Masud po prostu się wycofał poddając to miasto.

Po drugie, Biden najwyraźniej nie poinformował także o swoich zamiarach europejskich sojuszników z NATO, włącznie z Brytyjczykami (mającymi nadzieję na wznowienie „specjalnych relacji” zarzuconych przez Trumpa), którzy byli tak samo jak rząd w Kabulu kompletnie

zaskoczeni zarówno tempem, jak i charakterem amerykańskiej rejterady. Ci sami Europejczycy, którzy jeszcze niedawno gromko oklaskiwali Bidena i jego „America is back”, zdali sobie nagle i niespodziewanie sprawę z tego, że była to jedynie retoryka, za którą nie pójda czyny, a wręcz przeciwnie: USA będą realizowały wyłącznie swój interes (definiowany przez aktualną administrację), wbrew wcześniejszym deklaracjom i nie będą liczyły się z nikim i z niczym. Kontynuowanie realizacji doktryny „realizmu” przez ekipę Demokratów zaskoczyło jak widać bardzo wielu. Rozniosło się to szerokim echem od Paryża, przez Kijów, aż po Seul i Tajpej, najwyraźniej omijając jednak Warszawę. Był to oczywiście poważny cios w wiarygodność sojuszniczą USA, co będzie miało dalsze konsekwencje.

Czemu prezydent Biden zdecydował się na taki krok? Pierwsza przyczyna ma charakter wewnętrzny – Biden jako wiceprezydent w administracji Obamy mocno wspierał decyzję o wycofaniu wojsk USA z Iraku i nawiązując do stałej agendy Demokratów (ich polityka zagraniczna to: próby „resetu” z Rosją, dobre stosunki z Niemcami w Europie i wycofywanie się z tych wojen, które Ameryka akurat toczy), być może chciał przejść do historii jako ten amerykański prezydent, który zakończył kolejną wojnę z udziałem Amerykanów. Druga hipoteza dotyczy planów geostrategicznych Ameryki i zakłada chęć stworzenia przez USA „próżni bezpieczeństwa” w kraju sąsiadującym z Chinami i Rosją, która „zassałaby” te państwa w „afgańskie bagno” i zmusiłaby je do jakiejś formy interwencji w Afganistanie. To mogłoby się oczywiście powieść tylko w przypadku, gdyby proamerykański rząd w Kabulu się przynajmniej przez jakiś czas utrzymał i siły rządowe były w stanie toczyć taką niszczącą wojnę domową, lub gdyby talibowie ulegli „radyzacji” i chcieli nieść „płomień islamskiej rewolucji” na północ – do dawnych republik sowieckich – oraz na wschód, wspierając

separatyzm ujgurski. Jeśli jednak „Taliban 2.0” nie ulegnie tej pokusie, może nie być takiej potrzeby, gdyż zarówno Chiny, jak i Rosja będą mogły ułożyć swoje stosunki z talibami, a nawet ich ekonomicznie wspierać i stabilizować ten reżim. Przyszłość pokaże, jak rozwinie się sytuacja w obozie nowej władzy w Afganistanie, a powyższe hipotezy będą w stanie jednoznacznie zweryfikować przyszli historycy, którzy zyskają dostęp do obecnie tajnych dokumentów, jak i wspomnień bohaterów omawianych wydarzeń, jeśli ci zechcą się z nimi podzielić.

Powiedzieć dziś, że Joe Biden kontynuuje także w regionie Azji Środkowej politykę Donalda Trumpa – tylko, czego mało kto się spodziewał, w znacznie gorszym stylu i z o wiele bardziej katastrofalnymi konsekwencjami dla świata zachodniego – to nic nie powiedzieć.

Amerykanie i Talibowie opisują rzeczywistość w dwóch odległych językach. Pierwsi nazywają wydarzenia ostatnich lat „misją”, drudzy – „okupacją”. Co mówi nam to bolesne doświadczenie prawdy, iż „granice naszego języka są granicami naszego świata” w kontekście ostatnich wydarzeń w Kabulu?

Podany przez Panią przykład świadczy akurat, moim zdaniem, raczej o mowie w jednym języku – języku propagandy politycznej, który jest dość uniwersalny. Jednak zwróciła Pani uwagę na niezwykle istotną kwestię postrzegania i rozumienia świata. Mimo ogólnej, nominalnie znacznej świadomości na Zachodzie, a niekiedy nawet wręcz afirmacji różnorodności świata i istniejących w nim różnic kulturowych, rośnie tam ewidentnie poziom ignorancji co do znajomości owych różnic oraz porażającego etnocentryzmu w podejściu do prób „zrozumienia”

niezachodniego świata, co sprawia, że zachodnie rachuby zwyczajnie się nie spełniają, gdyż opierają się o fałszywy obraz świata. Proszę zwrócić uwagę, że prezydent Ameryki ma w swojej dyspozycji najpotężniejszą na świecie „wspólnotę wywiadowczą” (kilkanaście agencji i służb), dziesiątki „think – tanków” zaludnianych przez tysiące analityków, wreszcie setki uczelni wyższych zatrudniających kolejne zastępy „ekspertów”, często prezentujących swoje poglądy w mass mediach, a mimo to, jeśli założymy, że ostatnia rozmowa prezydentów Bidena i Ghaniego, która „wyciekła” niedawno do mediów była prawdziwa, rozwój wydarzeń był dla obu panów (sic!) dużym zaskoczeniem. Podobnie było zresztą w przypadku niemal wszystkich ważniejszych wydarzeń minionych kilkudziesięciu lat: „upadku” komunizmu i rozpadu ZSRS, inwazji Iraku na Kuwejt, zamachów z 11 września 2001 r., wojny rosyjsko – gruzińskiej, wydarzeń na Majdanie i ich konsekwencji w postaci aneksji Krymu przez Rosję. Najwyraźniej oznacza to, że język, którym obecnie operuje zachodnia elita intelektualna, znacząco utrudnia, zamiast ułatwiać, prawidłowe rozumienie świata, a tym samym nie pozwala Zachodowi na pełne realizowanie własnych planów politycznych. W czasach gdy Zachód – dawniej europejskie mocarstwa kolonialne, a potem USA – zdecydowanie dominował w świecie, miało to mniejsze znaczenie (choć mam wrażenie, że paradoksalnie, ówcześni mieszkańcy Zachodu lepiej go rozumieli niż współcześni), gdyż dysponował siłą, która mimo ewentualnej ignorancji mogła przeważać w „rozwiązywaniu” (a raczej niszczeniu) problemów, jednak te czasy odchodzą do przeszłości. Politycy zachodni mogli niegdyś, nawet gdy nie rozumieli istoty problemu, wykorzystać swą siłę, by go przemóc. Jednak dziś widać już wyraźnie, że zwłaszcza Europa (czy też państwa europejskie) nie liczą się zupełnie w globalnych rozgrywkach (gdyż nie mają skutecznych instrumentów siły), co zresztą wspomniane wyżej potraktowanie ich przez Amerykę dobitnie potwierdza. Widać także, że determinacja Ameryki w stosowaniu wciąż dostępnej jej siły szybko się kurczy. Nie

mam tu przy tym na myśli siły materialnej, która topnieje względnie powoli, lecz siłę moralną tego kraju, która zanika w znacznie szybszym tempie. Gdy już całkiem wyparuje, Pax Americana się zakończy i zostanie zastąpiony najprawdopodobniej przez Pax Sinica albo przez globalną anarchię. Niestety, albo na szczęście, w zależności od tego kim chcemy być w przyszłości, niewiele wskazuje na to, by proces ten można było zatrzymać i odwrócić.

Jak wygląda ta długoletnia interwencja amerykańska i sposób jej zakończenia na tle innych militarnych interwencji przeprowadzonych przez USA?

Ewakuacja z Kabulu jest obecnie często porównywana do ewakuacji Sajgonu, ale podobieństw jest niewiele (np. talibowie, tak jak armia Wietnamu Północnego, uprzejmiemie zaczekali na wywiezienie współpracowników USA) i mają wymiar symboliczny (fotografia helikoptera nad amerykańską ambasadą), zatem lepiej skupić się na różnicach. Wynikają one oczywiście zarówno z położenia obu krajów, jak i sytuacji geostrategicznej oraz politycznej w USA w latach 70. i obecnie. Mówiąc bardzo krótko – wojna w Wietnamie była u swego schyłku przedmiotem masowej politycznej debaty kwestionującej jej sens, a także poważnego sporu politycznego niemal od rozpoczęcia. „Kontrowersje” amerykańskiej obecności wojskowej w Wietnamie stale narastały, towarzyszyły im masowe marsze i protesty społeczne oraz rosnący sprzeciw wobec wojny radykalizujących się Demokratów, ale także i rosnącego popłochu wśród Republikanów, zwłaszcza po aferze Watergate. W chwili, gdy tzw. Poprawka Case’a – Churcha została przyjęta przez amerykański Kongres 1 lipca 1973 r. prezydent Nixon nie miał po prostu innego wyjścia, jak wycofać wszelką aktywność wojskową i wsparcie na rzecz rządu Wietnamu Południowego.

Rokowania pokojowe w Paryżu toczyły się od 1969 r., z aktywnym udziałem rządu Wietnamu Południowego i choć już od tej chwili wojska amerykańskie zaczęły być stopniowo wycofywane, zdecydowano się jednak na tzw. „wietnamizację” konfliktu, czyli poważne wzmocnienie sił zbrojnych Wietnamu Południowego, co nawet w 1973 r. – roku podpisania układu pokojowego w Paryżu (rząd Wietnamu Południowego był jego sygnatariuszem) i wycofania zasadniczych sił amerykańskich – dawało efekty, w postaci skutecznego powstrzymania ofensywy komunistów z Północy. Ostateczna ofensywa na Sajgon w 1975 r. nie powiodłaby się także bez gigantycznego zewnętrznego wsparcia w sprzęcie oraz amunicji ze strony ZSRS i ChRL. Nic podobnego nie występowało w przypadku Afganistanu – nie była to tak „kontrowersyjna” wojna, jak ta w Wietnamie, nie zrodziła ona masowego ruchu protestu społecznego, nie była także kontestowana powszechnie przez amerykańską klasę polityczną, ani też nie była przedmiotem tak gwałtownego sporu politycznego. Również talibowie nie mieli tak potężnego wsparcia zewnętrznego ze strony mocarstw (wyłączając oczywiście Pakistan), jak armia Wietnamu Północnego. Jak widzieliśmy, siły talibów de facto zostały poważnie dozbrojone przez pozostawiony przez Amerykanów sprzęt wojskowy, otrzymali oni nawet listy amerykańskich współpracowników. Prezydent Biden nie został zatem zmuszony przez Kongres do porzucenia sojuszniczego rządu tak jak Nixon – była to wyłączenie jego decyzja. Tym bardziej trudno porównać tę rejteradę z innymi, gdyż po zakończeniu wojny w Korei USA pozostawiły do dziś poważne siły wojskowe chroniące tego sojusznika, a np. interwencja amerykańska w Libanie w latach 1982 – 1984 trwała za krótko. Jednak tak jak upadek Sajgonu nie oznaczał upadku Ameryki i ostatecznego triumfu komunizmu, tak samo upadek Kabulu nie oznacza zwycięstwa dżihadyzmu i natychmiastowego końca amerykańskiego porządku, a jedynie znaczne jego osłabienie poprzez utratę zaufania do intencji USA przez ich sojuszników.

Czy nowa sytuacja związana z wycofaniem się wojsk amerykańskich wpłynie na działania chińskie w stosunku do opuszczonych terenów?

Tak, oczywiście, Chiny skorzystają z zaistniałej próżni geostrategicznej po USA w Afganistanie, zapewne wykorzystując swoje znakomite stosunki z Pakistanem. Chiny, jak i Rosja oraz postradzieckie „stany” są zainteresowane stabilizacją Afganistanu, zakończeniem wojny domowej i powstaniem „umiarkowanego” rządu afgańskiego, który nie będzie zainteresowany „eksportem” destabilizacji na północ i wschód. Zatem wszystkie te kraje będą wspierać i naciskać na przejęcie władzy przez „umiarkowane” frakcje wśród talibów (musimy pamiętać, że Taliban to raczej ruch społeczny, niżli jednolita organizacja czy partia polityczna), w zamian za inwestycje i inne benefity. Chinom zależy na spokoju w Afganistanie, zarówno ze względu na tzw. „inicjatywę pasa i szlaku”, jak i funkcjonowanie i wsparcie dla ujgurskich „terrorystów” (w nomenklaturze amerykańskiej ujgurskich „freedom fighters”) oraz ogólny zysk w postaci wyłuskania kolejnego kraju, którego władze nie będą anty – chińskie i proamerykańskie. Paradoksalnie, obecnie najbardziej zainteresowane destabilizacją sytuacji w Afganistanie i kontynuacją wojny domowej w tym kraju są właśnie Stany Zjednoczone.

Czym różniła się interwencja Iraku od tej w Afganistanie? Często w potocznym obiegu wrzucane są do jednego worka...

Całkowicie niesłusznie, gdyż są to całkowicie różne wydarzenia, mimo iż należą do jednego ciągu zdarzeń i zostały zainicjowane przez administrację prezydenta Busha. Inwazja na Afganistan była bezpośrednią konsekwencją zamachów z 11 września. Prezydent USA musiał wtedy pokazać światu, że Ameryka pozostaje światowym hegemonem po tym upokorzeniu i zmilitaryzował ogłoszoną „wojnę z terrorem” (GWOT). Te działania amerykańskie dałoby się jeszcze zrozumieć i uzasadnić – zarówno lider oraz większość przywódców Al Kaidy, jak i jej „bojownicy” rzeczywiście znajdowali się na terenie Afganistanu, a ówczesny taliban nie kwapił się do ich wydania. USA musiały zrobić coś spektakularnego, by przekonać zarówno siebie, jak i świat, że wciąż pozostają jedynym światowym supermocarstwem, które oddaje cios z nawiązką i szybko oraz skutecznie zajęły Afganistan, limitując znacząco możliwości działania Al Kaidy, a także eksterminując lub zmuszając do ucieczki i ukrywania się zarówno jej kadry przywódcze, jak i szeregowych członków. Ukoronowaniem tej aktywności było wytropienie i zabicie Bin Ladena, wprowadzie niemal po 10 latach od ataku, ale jednak. Biden był przy tym sukcesie jako wiceprezydent. Gdyby USA na tym poprzestały i zajęły się wyłącznie odbudową Afganistanu, przekształcając go w środkowoazjatycką prosperującą proamerykańską „wizytówkę”, historia potoczyłaby się zapewne inaczej. Kłopot w tym, że trzon ówczesnej administracji tworzyli tzw. „neokoni” (Wolfowitz, Abrams, Perle, Bremer) oraz ludzie powiązani z korporacjami naftowymi i zbrojeniowymi (Cheney i Rumsfeld), którzy najwyraźniej postanowili wykorzystać nadarżającą się okazję, by zrealizować projekt ideologiczny znany jako PNAC czyli dokonać transformacji Bliskiego Wschodu, wykańczając Saddama Husajna i przy okazji dając zarobić amerykańskim korporacjom naftowym i zbrojeniowym. Inwazja na Irak pod pretekstem „wojny z terrorem” (Saddam nie wspierał Al Kaidy, nie miał zresztą też BMR)

zdestabilizowała region Bliskiego Wschodu, czego skutki odczuwamy do dziś. Przyczyniła się do rozwoju ruchu dżihadystycznego, jego dalszej radykalizacji i powstania tzw. Państwa Islamskiego, kryzysu imigracyjnego w Europie w latach 2015 – 2017 i fali islamistycznego terroru na Starym Kontynencie. Choć trzeba przyznać, że same USA na tym bardzo nie ucierpiały, to ucierpiała Europa Zachodnia, a głównymi beneficjentami „transformacji” w tym regionie były i są Izrael oraz Iran. Wycofanie Amerykanów z Afganistanu może mieć podobne skutki – choć Ameryka może bardzo nie ucierpieć, to konsekwencje mogą ponieść Indie i Europa, a beneficjentami będą Pakistan, Chiny, być może także Iran i Rosja.

Jak ocenia Pan lata amerykańskiej walki z terroryzmem od momentu zamachu na WTC?

Ocena de facto została przez mnie dokonana wyżej. USA udało się skutecznie ograniczyć możliwości działania tzw. Centrali Al Kaidy, ale przyczyniły się, pośrednio oczywiście, do powstania jej bardziej zjadliwej i śmiercionośnej mutacji, jaką jest tzw. Państwo Islamskie. Choć same nie ucierpiały szczególnie na swoich działaniach (nie licząc oczywiście znaczącej ofiary krwi złożonej przez personel amerykańskich i sojusznicznych sił zbrojnych), to udało im się trwale zdestabilizować tzw. Większy Bliski Wschód. Przez swe piętnastoletnie zaangażowanie w GWOT pośrednio wzmocniły Chiny, Rosję i Iran. Nie może więc dziwić, że zarówno administracja Trumpa, jak i Bidena postanowiła to zmienić. Sprawily, że poza tym ostatnim państwem i ewentualnie Egiptem, Izrael nie ma powodu, by obawiać się sił zbrojnych jakiegokolwiek innego państwa w regionie.

Czy są jakieś szanse na zachowanie praw Afganek w obecnej sytuacji?

Są one zerowe. Prawa Afganek będą w najbliższym czasie określone przez taką interpretację szariatu, jakiej w danym momencie będą dokonywać talibowie. Być może nie oznacza to zupełnego powrotu do czasów sprzed października 2001 r., ale z pewnością nastąpi zasadniczy odwrót od sytuacji istniejącej w tym kraju do sierpnia 2021 r. Dotyczy to oczywiście głównie Kabulu i większych afgańskich miast, bo na wsi sytuacja kobiet drastycznie się nie zmienia.

Z prof. Ryszardem Machnikowskim rozmawiała Hanna Nowak



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

